

Dawid Ladach

BRZYTWA



Brzytwa

I

O czwartej nad ranem otworzył oczy. Nic nie wiedział – ciemność była absolutna. Zdawało mu się, że jest w niej zawieszony, w ciemności-pustce. On i nicość. Leżał nie ruszając się. Myśli przepływały wolno, leniwie – lekkie i niegroźne. Po kilku minutach poczuł, jak pustka wkrada się w niego, i nie spodobało mu się to. Szarpnął się i spuścił nogi z wąskiego łóżka, znajdując się w pozycji siedzącej. Nagły ruch przyniósł zawrót głowy. Przycisnął pięść do czoła i skrzywił się, zgarbiony i zagubiony. Po kolejnych minutach mózg dogadał się z błędniakiem, a Jacek sięgnął po leżącą na stoliku komórkę, wcisnął przypadkowy klawisz i spojrzął na wyświetlacz. Oczy natychmiast wybuchły bólem, a głowa bez żadnych konsultacji odwróciła się od przykrego źródła światła. Dopiero po kilkunastu sekundach obcowania z wyświetlaczem Jacek otrzymał informację, że jest czwarta osiem. Nieźle, naprawdę nieźle, pomyślał, bo coraz częściej zdarzało mu się budzić o trzeciej albo drugiej w nocy, mając przed sobą samotną podróż przez noc.

Przeciągnął się i sięgnął po torbę leżącą przy łóżku. Wyciągnął z niej kredę, zapalki i pięć grubych świec – każdą w innym kolorze: białą, fioletową, czerwoną, zieloną, czarną. Syknęła zadziwiająco długa zapalka – jakiś czas temu namoczona jego krwią i wysuszona tak, że nadawała się do użytku – którą je podpalił. Gdy świece płonęły, ustawił je i połączył kredą, tworząc pentagram, w którym każde ramię wieńczyła jedna ze świec. Znów sięgnął do torby. Tym razem wydobył z niej książkę w dużym formacie, z dużą ilością stron, oprawioną w skórę. Zasiadł z nią po turecku w środku swojego dzieła, otworzył blisko środka i zaczął czytać. Litery migoczące w rytm tańczących płomieni świec składały się na dzieło o wymownym tytule „Jesteś synem Szatana?”. W odbiorcy, który zwiedzał karty tej książki traktującej o Księciu Ciemności, ale przede wszystkim o jego synu, egzystującym gdzieś na świecie nieświadomy swojej mocy, co rusz pojawiała się pytanie: „Może to ja?”. Jacek też je podświadomie zadawał – książka była bardzo sugestywna i uniwersalna, jak dzieło Kilgore Trouta przekonujące jednego z bohaterów „Śniadania mistrzów”, że wszyscy na ziemi są jedynie robotami, podczas gdy on jest jedynym człowiekiem z krwi i kości, z wolną wolą. Jacek odpowiadał sobie na zadawane w kółko pytanie: „Nie... ale...” To „ale” wyznaczało krąg jego życia. Było prawdziwym pentagramem.

Gdy słońce w całości wyłoniło się z horyzontu, zamknął księgę. Kreda, zapalki, świece, książka wylądowały w torbie, a pentagram, przy pomocy ścierki, zamienił się w pozbawiony symboliki pył kredowy.

Słońce pięło się w górę, ptaki śmigły po gałęziach, a niebo było bezchmurne gdy ubrany schodził po schodach z piętra na parter. Przeszedł przez pokój swoich znajomych i wyszedł przed jednopiętrowy, drewniany domek. Ogarnęła go zieloność traw, świerków i tui. Jego prawa ręka bezwiednie powędrowała do ust i zaczęła je delikatnie trzeć. Był to nawyk powstały tuż po rzuceniu przez Jacka palenia kilka dni po śmierci jego matki. Było to trochę

dziwne, ale co tam, najważniejsze to nie palić. Jego matka nienawidziła papierosów. Mówiła, że to nie w porządku robić krzywdę swoim narządom: żołądkowi, płucom, sercu, trzustce, nerkom... – one tak się starają, żebyś mógł żyć, a ty co? Kłody pod nogi w postaci amoniaku, cyjanowodoru, chlorku winylu, acetonu... To była dobra i mądra kobieta.

Ziewnął. Pomyślał o śnie, ale wiedział, że nie czas na niego – ziewanie to w tej chwili jedynie list pożegnalny od niego. Senność nastąpi około piętnastej, a o szesnastej będzie można się zdrzemnąć. Lubił te około dwugodzinne drzemki, w których nie dręczyły go żadne zęby, pazury, krzyki, gonitwy... Jakże różny to był sen od tego, który odwiedzał go w nocy.

Nieco bezwiednie, głównie po to, żeby przerwać stagnację, ruszył przed siebie do stojącego z boku domku motocykla: Hondy Goldwing, wielkiej kanapy na kółkach stworzonej do dalekich wypadów we dwoje. Jacek dosiadł ją i chwycił za kierownicę, choć nie miał nawet prawa jazdy. Nie mógł go zdać przez doświadczenie chwilowych nieobecności. Zdarzało mu się podczas prowadzenia auta na chwilę mentalnie go opuścić, przenieść się w nicość. Chwilowe wyłączenie. Najwyżej kilka sekund, ale wystarczało, żeby zrobić coś nieprzepisowego na drodze.

Jacek powiedział, że nie będzie jeździł za kółkiem, a wszyscy myśleli, że nie chce narażać innych uczestników ruchu, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo go to nie obchodziło. Chodziło o brak kontroli. Utrata kontroli to bycie na kolanach, to bycie na łasce innych, to utrata siebie – to niedopuszczalne.

Zsiadł z motocykla i podszedł do świerków. Przebił się przez nie i przywarł do drewnianego przęsła ogrodzenia, by spojrzeć na znajdujące się dwieście metrów dalej jezioro, w tej chwili jeszcze spokojne, dostojnie czekające na chmary turystów. Myślał o swoich znajomych, u których teraz mieszkał, o Kamili i Bartku. Mieli wiele motocykli, którymi zjeździli już całą Europę – widzieli nieporównywalnie więcej niż ja, myślał Jacek. Ich maszyny, podróże, domki rozsiane po całej Polsce, a oni zdrowi, tryskający energią, planujący dziecko... Zwiesił głowę i pozostał tak przez chwilę, aż krew uderzyła mu do głowy, spowodowała uczucie ciężkości. Zawrócił do domku, mimowolnie spoglądając na krąg piachu – wysepkę śmierci wśród morza traw. Przedwczoraj w tym miejscu paliło się ognisko. Byli znajomi Kamili i Bartka, kiełbaski, piwo, drinki, śmiechy, plany, opowiadki, plotki i wszystko, co przy ognisku ma miejsce, no, może prócz kilku rzeczy, na przykład gitary. Szkoda, że jej nie było – lubię ją, pomyślał Jacek, który, nawet bez gitary bawił się całkiem niezłe: słał uśmiechy, pił, uczestniczył w rozmowach, nawet opowiedział kilka żartów, niezbyt śmiesznych, ale były salwy śmiechu – przez alkohol albo z litości. Teraz, patrząc na krąg piachu, czuł jedynie smutek i gniew. Przyśpieszył kroku i znalazł się w domku.

Podszedł do nóg łóżka znajomych. Kamila – niewysoka blondynka o kręconych włosach i małej twarzy – spała na lewym boku, zwrócona do Bartka, mężczyzny o posturze zapaśnika: wysokiego, o dużej masie, ale nie otyłego. Był silny, choć w ogóle nie ćwiczył. Kolejny dowód na to, że są szczęściarze i są szmaciarze, pomyślał.

– Mógłbym cię teraz zabić – powiedział cicho Jacek. – Ciebie i twoją żonę. Element zaskoczenia plus szybka ręka i by was nie było. Twoja postura i bogactwo byłoby jedynie dekoracją mojego dzieła.

Stał przed ich łóżkiem kilka minut, czując przeróżne emocje: gniew, podziw, wstręt, wdzięczność, agresję, rozczulenie. Nie obawiał się, że znajomi obudzą się i widząc go

wpatrującego się w nich nabiorą podejrzliwości i wrogości. Nie, ci miłosierni samarytanie byli naprawdę bardzo miłosierni: nie mieliby do niego żadnych pretensji; rozumieli w jakiej sytuacji się znalazł: odejście żony, utrata pracy, próba samobójcza, śmierć matki i kłopoty z prawem przez bójkę w barze działały na ich wyobraźnię.

– Słodziutkich snów – powiedział i poszedł na górę. Zabrał plecak i się wyniósł.

II

Wysiadł z autobusu w mieście i poszedł w kierunku hotelu widocznego w oddali. Jego wzrok koncentrował się niemal wyłącznie na nim – Jacek był jak kot wpatrujący się w ofiarę, dla którego świat poza nią jest tylko pozbawioną szczegółów otoczką. Pokonawszy przeszklone drzwi, przeszedł przez uważany przez siebie za banalny i ubogo urządzonej hall: kremowe, prawie nagie ściany, duże okna, dużo roślinności i kilka białych kanap z owalnymi stolikami – wszystko sprawiało wrażenie przypadkowego... A może o to chodzi?, pomyślał i podszedł do kontuaru wyglądającego na wykonany z ciężkiego drewna, zza którym stał młody mężczyzna w bordowym uniformie. Z wystudiowanym uśmiechem wysłuchał żądania gościa.

– Tak, mam coś dla pana – powiedział po chwili. – To nasz najtańszy pokój...

– Biorę – odparł Jacek, zapłacił sto pięćdziesiąt złotych, zameldował się i odebrał klucz ze staroświecką, charakterystyczną gruszką z wybitym u podstawy numerem. Wjechał na drugie piętro. Zmierzając po bordowej wykładzinie w owalne czerwone znaki, po swojej lewej i prawej mając kremowe ściany i drzwi, nad którymi zainstalowano małe lampki pomagające w odnalezieniu pokoju, czuł rozsadzające go podniecenie.

Wszedł do swojego pokoju. Skromnie urządzone pomieszczenie nie zachwyciło go ani nie odstręczyło – kompletnie go nie interesowało, w przeciwieństwie do urządzenia pokoju 303, wynajmowanego przez niego jakiś czas temu, w którym pozostawił swoje ślady, osobliwe prezenty. Wypalił w podłodze pod dywanem, w miejscu, w którym stoi tam łóżko, znak pentagramu, na zwieńczeniu każdej z jego ramion umieszczając ludzkie paznokcie. W rozprutym, a potem skrętnie zszytym materacu umieścił ciała pajaków i czerw, a także nieco wronich piór. Za lustrem w łazience namalował oko kocią krwią. Krzesła natarł owczym łojem. Wszystko to okraszył zaklęciami i rytuałem z użyciem świec. W tym pokoju zatrzymała się pięć dni temu młoda kobieta – wiedział to od przekupionego recepcjonisty. Po jej zameldowaniu się Jacek obejrzał ją sobie: legginsy opinające szczupłe proste nogi; koszulka podkreślająca wąską talię; ciemne, prawie czarne włosy; dobry makijaż na młodej, niespełna trzydziestoletniej twarzy. Była dla niego tylko zbiorem dobrze spełnionych kryteriów.

Dziś był jej ostatni dzień pobytu. Po pięciu dniach powinna zdradzać wpływ niezwykłego pokoju. Wystarczy znów ją obejrzeć – ten żywy miernik mocy – i ocenić, jak bardzo z nią źle.

Kilkanaście minut po przekroczeniu progu hotelu Jacek był pod numerem 303. Zapukał. Raz, potem drugi. Drzwi się niepewnie uchyliły.

– Tak? – zapytała kobieta. Była ubrana w grubym niebieskim szlafroku i niebieskich kapcie.

– Przepraszam, czy u pani wszystko w porządku? – zapytał, łapczywie przyswajając każdy detal jej jestestwa.

– Tak, dlaczego pan pyta?

– Usłyszałem jakieś hałasy; myślałem, że dochodzą z pani pokoju.

– Nie, spałam, nic nie słyszałam. Może to gdzieś obok.

– Być może. W takim razie nie przeszkadzam. – Zaczął się już odwracać, gdy zagadnął jeszcze pełen uroku, ot tak, niby z niewinnej chęci przedłużenia konwersacji o drobne pytanie: – Przepraszam jeszcze, mogę zapytać, jak się tu pani śpi? Tak się zabawnie składa, że już dwa razy dostawałem ten pokój i za każdym razem dręczyły mnie tu koszmary.

– Koszmary? O, nie, wszystko w porządku. Mam twardy sen, to pewnie dla tego nie słyszałam hałasów.

– No tak, pewnie tak, przepraszam za obudzenie. Życzę miłego dnia.

– Nawzajem.

Drzwi się zamknęły. Jacek odszedł na kilka kroków i zatrzymał się. W szlafroku trudno ocenić, co z jej ciałem, ale twarz, twarz było widać. Opuchnięta, ale to od snu. I nie tak urodziwa jak wtedy, w pierwszy dzień pobytu, ale to przez opuchliznę i brak makijażu. Włosy w nieładzie, jakby w mniejszej objętości, ale to przecież przez poduszkę... Wnioski? Brak; oględziny odroczone.

Wrócił do swojego pokoju i położył się na wznak na łóżku. Oszołomienie nie pozwalało mu myśleć, a sen nie chciał zrobić wyjątku i przyjść dziś wyjątkowo wcześniej. Była szósta trzydzieści. Śniadanie dają tu o dziewiątej trzydzieści. On nie wykupił opcji śniadaniowej, ona tak. „Bardzo dobrze. Przed bufetem ją zobaczę. O ile będzie miała siłę tam dojść”. Z tą pocieszającą myślą sięgnął do plecaka po książkę, nie większą od zeszytu, w zwykłej tekturowej okładce. Na jej szczycie był tytuł: „Ciemność cię kocha”. Jacek nie mógł się na niej skupić. Wiercił się aż z książki wypadło zdjęcie jego żony.

Musiał się tu znaleźć po rzuceniu klątwy, pomyślał. W istocie, było to po tym, gdy Jacek nałożył na swoją żonę Dagmarę klątwę emocjonalną z wykorzystaniem swojego ulubionego symbolu – pentagramu. Zrobił to by ją ukarać. Za to, że powiedziała mu, że jest w ciąży i chce dokonać aborcji. Jacek nie był zachwycony tym pomysłem, ale rozumiał żonę – była jeszcze młoda, robiła karierę w socjologii jako specjalista analizy rynku, nie czas było na potomka. Decyzja nie była jednak prosta, wszak chodziło o zabicie własnego dziecka, a więc coś, co położy się cieniem na całej reszcie jego życia – to było jasne. Niejasne było to, jak ciemny będzie ten cień i co da się w nim hodować. Miotał się z podjęciem decyzji, a Dagmara popadała ze skrajności w skrajność. Raz dziecko to był Boży dar – mówiła o cudzie narodzin; potem dziecko to było nieszczęście, taran, który zniszczy jej życie. Wreszcie, chcąc położyć kres tej piekielnej huśtawce nastrojów, Jacek wysłał ją z dziesięcioma tysiącami do dobrej kliniki. Kilka dni po jej wyjeździe dostał od niej papiery rozwodowe. Zdezorientowany dopiero po około miesiącu dowiedział się, co się stało: ciąża, uwiarygodniona czyimiś wynikami badań, to był tylko fortel do dręczenia go i wymuszenia pieniędzy, za które Dagmara zamiast skrobanki urządziła sobie wakacje.

Jacek czuł się jakby utracił połowę koncentracji, efektywności, zaangażowania... Nie musiał długo czekać na efekty: popełnił kilka błędów w dziale sprzedaży firmy odzieżowej, za które go zwolniono. Po kilku dniach życia bezrobotnego, wracając ze sklepu, sam nie widział kiedy zszedł z chodnika pod nadjeżdżający samochód. Nie stało mu się nic

poważnego, ale za słabo ukrywał to, co zaszło, zwyczajnie nie mając na to sił – psychiatra w szpitalu orzekł, że Jacek próbował popełnić samobójstwo. Dowiedziała się o tym jego matka. Niedługo potem zmarła na zawał. Nie wiadomo, czy przez trudną sytuację, w której znalazł się jej syn, czy chodziło o coś zupełnie innego. W każdym razie Jacek wiedział swoje – do czary goryczy została dolana krew jego matki. Był pogrzeb, a po nim, jeszcze w tym samym dniu, bójka w barze z nieodpowiednim facetem. Wszystko się posypało.

W chwili dojmującej samotności zadzwonił do wróżki, której numer przypadkiem znalazł w jakiejś gazecie. Wyzalił jej się i dowiedział od niej, że ktoś nałożył na niego klątwę, możliwe, że Dagmara. W jego życiu pojawiło się zielone światełko. Jacek przeszedł rytuał oczyszczenia, a potem odplacił się żonie pięknym za nadobne. Za oszczędności wynajął kilku specjalistów i rzucił klątwę. Niestety nieskuteczną: Dagmara nadal kwitła u boku nowego partnera.

Schowwał na tyłach książki zdjęcie utrwalające szeroką twarz z ostrymi rysami, szeroko rozstawionymi oczami i wydatną szczęką – niekobiece oblicze, ale całkiem ładne, niebanalne na tyle, że Jacek zwrócił na nie uwagę w barze dawno temu, gdy życie nie miało nic wspólnego z płaską kupką kart. Wrócił do czytania, choć z każdą minutą coraz większy procent jego uwagi przenosił się do kanapy stojącej przed drzwiami bufetu. W końcu zdecydował się zasiąść na niej o ósmej pięćdziesiąt. Gorączkowo wgrzyzając się w twarze przechodniów, by nie przegapić tej, na którą czekał, poczuł ból górnej wargi. Na moment porzucił lustrację klientów hotelu i zbadał sprawę ust. Nie była to zagadką dla Sherlocka, mimo to Jacek przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wyciągnięta przed twarz dłoń, która przed chwilą pocierała jego wargę. Organizm błagał o nikotynę! Ale nic z tego, przecież mama, ona... ja nie mog... „Ludzie!” – pomyślał i wrócił do przyglądania się mieszkańcom czterogwiazdkowego hotelu.

O ósmej piętnaście ją zobaczył. Jego wzrok poraził przeraźliwie żółty sweter. W jego sile ogrzewała się jej twarz z nienagannym makijażem, okalana włosami o niezwyklej objętości, lekko unoszącymi się i opadającymi z subtelnością czułego muśnięcia warg. Obejrzał się za nią, gdy wchodziła do bufetu; jej obcisłe dzinsy i tenisówki dodawały jej młodzieńczego uroku. Wstał i poszedł przed siebie. Otumaniony zabrał z pokoju plecak, wymeldował się i wyszedł z hotelu. „Niemożliwe, niemożliwe...” – powtarzał w myślach.

III

Jego następnym przystankiem była opuszczona, jednopiętrowa kamienica z towarzyszącą jej tablicą: GROZI ZAWALENIEM. Jacek przeszedł przez dziurawe jak szwajcarski ser ogrodzenie i wszedł do budynku przez nieregularny otwór będący pozostałością po znajdującej się w nim kiedyś futrynie z drzwiami. Od razu natknął się na bezdomnego, około pięćdziesięcioletniego brodacza zawiniętego w stos szmat, emanującego aureolą smrodu. Zdawał się być nieprzytomny, zapewne z niedożywienia i procentów harcujących w jego sponiewieranych narządach.

Jacek kopnął go w miejsce, gdzie powinny znajdować się jego żebra. Poczuł się jakby wymierzył cios miękkemu walcowi amortyzującemu uderzenia. Przeskoczył go na

sprężystych nogach, w obecności bezdomnego czując się silnym, pełnym możliwości i przyszłości. Rażnym krokiem zbiegł po schodach, nad którymi, między ścianami pokrytymi bohomazami uwłaczającymi grafity, unosiło się uperfumowane uryną powietrze. Potem pomaszerował wąskim korytarzem co rusz wysuwającym w jego kierunku opuchły i popękany jęczor z cegły, aż znalazł się przy solidnym wejściu z grubych desek zabezpieczonym kilkoma kłódkami dobrych firm. Jacek otworzył drzwi własnej konstrukcji i wszedł do największego pomieszczenia w piwnicach umierającej kamienicy.

Przywitał go, jak zawsze, smród wychylający swoje obrzydliwe oblicze zza maski zapachu z cytrynowego odświeżacza powietrza i ciche brzęczenie zbliżone do dźwięku skrzydeł owadów. Jacek zamknął za sobą drzwi i wszedł w nakreślony na podłodze krwią pentagram, w którego środku stało krzesło z przykutym do niego nagim mężczyzną. Z głową opuszczoną na klatkę piersiową więzień zdawał się spać albo kontemplować z bliska symbole powstałe na jego piersiach przez przypalenie ich rozgrzanym żelazem, polewanie kwasem, nacinanie ostrymi narzędziami i uderzenie tępymi przedmiotami.

Jacek wyjął z plecaka butelkę i oblał znajdującą się w niej wodą przykutego mężczyznę. Życiodajny płyn spłynął po ogolonej głowie więźnia, jego skroniach i pozacinanym od golenia policzkach, najpierw ściekając ciurkiem, potem jedynie kapiąc na betonową podłogę. Krystaliczny dźwięk wody i łacińskie szemranie płynące z głośników rozstawionych w kątach pomieszczenia, nieustannie sączących cichą modlitwę, na chwilę w pełni opanowały boks piwnicy. Zagłuszyło je dopiero szurnięcie i cichy, głuchy dźwięk uderzenia buta o puszczel.

Jackowi zaczęło brakować tchu, i to wcale nie przez duszący zapach kału i cytryn, ale przez wynik, jaki dawały poczynione przez niego obserwacje: brak reakcji przykutego mężczyzny na wodę i ból, a także sinoczerwone zabarwienie jego pośladków i ud oraz szarość pozostałych partii skóry – kolory, w jakie lubiła stroić się śmierć.

– Co jest gnoju? – Jacek obszedł więźnia i dotknął jego pleców – zimnych i sztywnych. – Nie, nie rób sobie jaj! Nie żyjesz, gnido?! Ty parszywa gnido! – wrzeszczał wśród ścian wygłuszonych paletami od jajek.

Położył na łysej głowie nagiego mężczyzny dłoń i pchnął ją przed siebie, odsłaniając twarz przyglądającą się mu z na wpół otwartymi oczami lalki – suchymi, z zastygłymi źrenicami. Spoliczkował swojego więźnia, a potem przyłożył palce do tętnicy szyjnej, w której już od kilku godzin nie mieszkał puls.

– Ty zawszony, niewdzięczny skurwysynu! Miałeś być medium! Taki awans społeczny, a ty co? Tak się odwdzięczasz? – Kopnął go w klatkę piersiową. Mężczyzna poleciał jak kłoc drewna do tyłu, odsłaniając stojące pod krzesłem wiaderko z nieczystościami i swoje nagie pośladki widoczne przez otwór w siedzisku krzesła. – Wszyscy jesteście tacy sami: zawszeni, brudni i beżużyteczni.

Chwiejnym krokiem zbliżył się do stołu po prawej. Przez moment, patrząc na leżące na blacie amulety, narzędzia, jedzenie, odświeżacze powietrza, leki psychotropowe, książki... nie wiedział, co ma zrobić. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że powinien albo zabrać stąd wszystkie swoje rzeczy, albo pozbyć się ciała, np. przez rozczłonkowanie go. Chwytał w dłoń opalarkę – męską odpowiedniczkę suszarki. Ciężka mu nadmiernie, a jego palce rwały się do rozwarcia uścisku jakby chwytały coś trującego. Odłożył narzędzie i wyszedł z boku piwnicy, zamykając za sobą drzwi jedynie na jedną kłódkę.

Przy wyjściu z kamienicy zrobił duży krok i zostawił za plecami bezdomnego. Już miał się od niego oddalić, gdy poczuł, jak jego dłoń chwyta go za lewą kostkę. Z panicznym obrzydzeniem uwolnił się z uścisku, spazmatycznie podrygując uwięzioną nogą, lewie uchraniając się od upadku na dywan z niedopałków i kolorowej tłuczki butelek tanich trunków.

– O co ci chodzi?! – ryknął, jednocześnie widząc w dłoni brodacza zmiętą paczkę papierosów.

– Ognia, człowieku – wychrypiał leżący. Jacek spojrzał na niego bez wyrazu, po czym podeszwą buta przygniół jego nadgarstek trzymający złoty skarb – żółte pudełko Cameli. Brodacz zacharczał coś z bólu i gniewu, a Jacek chwycił z imponującą szybkością łup i równie szybko opuścił kamienicę. Kilkadziesiąt metrów dalej znalazł kogoś, kto pożyczył mu zapalniczkę. Zapalił papierosa, usiadł na środku chodnika i palił.